Cena 60 groszy. Opłata uiszczona ryczałtem.

GÓRKA



MIESIĘCZNIK

MŁODZIEŻY i DZIATWY, PRZEBYWAJĄCEJ W KOLONJI LECZNICZEJ DZIECIĘCEJ IMIENIA DR-A MEDYCYNY REKTORA J. BRUDZIŃSKIEGO PRZY ZDROJU W BUSKU

ORGAN TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ GÓRKI.

Rok III. Maj-Czerwiec 1933 r. Nr. 5-6 (27-28)

Czwarty rok szkolny na Górce skończony!

Czwarty rok pracy szkolnej w dniu 14 czerwca został zamknięty. Za cztery lata dorobek szkoły na Górce jest dość pokaźny — 800 zgórą uczni przeszło przez tę „szkołę w łóżkach", w tej liczbie jeden już maturzysta, kilkoro kończy gimnazjum. Szkoła względnie dobrze wyposażona w pomoce naukowe, szereg rozpoczętych i prowadzonych prac w dziedzinie psychologji dziecka — oddział dla dzieci umysłowo upośledzonych i żywy a jednocześnie realny program na przyszłość. W ostatnim roku pracy szkolnej przyszło już nam wprawdzie skromne doświadczenie nabyte w tych kilku latach na Górce, uczyły się bowiem dzieci z różnych dzielnic polskich, o różnym poziomie, każde znalazło swoje miejsce w szkole, nie było dziecka niezajętego, a to jest dla nas bardzo ważne.

TAB. I.
Ilość uczni w szkole w roku szk. 1932/33.

Oddział	Chł.	Dziew.	Razem
I	43	21	64
II	21	19	40
III	21	23	44
IV	20	26	46
V	10	21	31
VI	14	17	31
VII	3	12	15
Ogółem	132	139	271

Napotkaliśmy jednak w tym roku również na trudności większe niż w latach ubiegłych: terminy leczenia. Przyjeżdżały bowiem dzieci z niektórych organizacji na 2 miesiące, a nawet na 6 tygodni, pomimo że znalazły one miejsce w szkole, to jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że praca szkolna w tym krótkim terminie z pewną ilością dzieci nie może być brana poważnie. O leczeniu w 6 tygodniowym terminie jako niefachowcy nie zabieramy głosu. Oddajemy głos cyframi. W roku szk. 1932/33 przeszło przez szkołę:

Dzieci te przybywały do nas i wyjeżdżały od nas w różnych terminach, przychodziły jednak przeważnie ze szkół z całej Polski, na kurację, lecząc się nie przerywały pracy szkolnej i wyjeżdżały od nas z odpowiedniemi zaświadczeniami, stwierdzającemi wyniki ich pracy. Do końca roku szkolnego pozostało 62 dzieci, które u nas zostały sklasyfikowane i promowane do wyższych klas i u nas też otrzymały świadectwa szkolne. Grupa ta według wyników pracy szkolnej przedstawia się następująco:

Tab. II

Wyniki klasyfikacyjne w/g stopni w ocenie pracy uczni szkoły Górki przy zakończeniu roku szkolnego 1932/33

Oddział	Stopnie w nauce						Ogółem uczni	Nauczyciel
	b. db.	db.	dst.	ndst.	pro-mow.	nie-pro-mow.		
I	—	8	8	—	16	—	16	*Helena Grodzicka*
II	2	6	6	—	14	—	14	
III	—	5	2	—	7	—	7	*Celina Perkowska*
IV	—	4	6	1	10	1	11	
V	—	4	2	—	6	—	6	*Eustachy Kuroczko*
VI	—	3	2	—	5	—	5	
VII	—	1	1	1	2	1	3	
Razem	2	31	27	2	60	2	62	

W tabeli tej rzuca się w oczy bardzo mały odsetek bo zaledwie 3,2% niepromowanych i taki sam bardzo dobrych wyników, najwięcej zaś jest dzieci, uczących się przeciętnie. Nie znaczy to jednak, abyśmy nie mieli wybitnie zdolnych dzieci, zainteresowania ich jednak są b. często jednostronne, dlatego też w klasyfikacji ogólnej nie mogą być one uwidocznione, gdyż chodzi nam przedewszystkiem o sprawiedliwą ocenę pracy naszych uczni.

Mamy n. p. uczni celujących w rachunkach, lub innych przedmiotach, ale słabszych n. p. w rysunkach i przedmiotach technicznych.

Chcąc mieć całość rozwoju naszej szkoły przed oczyma, należy zwrócić uwagę na tab. III, w której uwidoczniono ilość uczni w poszczególnych latach istnienia szkoły.

Tabl. III.
Ilość uczni w poszczególnych latach od założenia szkoły na Górce 1. I. 1930 roku.

Rok	Dzieci w szkole
1930	110
1930/31	211
1931/32	254
1932/33	271
Razem	846

846 uczni w szkole sanatoryjnej w ciągu 4-ch niespełna lat! W tej liczbie 8, które składały egzamina w szkołach średnich w charakterze eksternów od kl. V do matury złożyli wszyscy, 2 zaś z wyszczególnieniem.

Bibljoteka.

Przy szkole istnieje nowocześnie zorganizowana bibljoteka uczniowska, która w pracy naszej oddaje nam nieocenione wprost usługi zwłaszcza, gdy chodzi o nauczanie przedmiotów humanistycznych. Dzieci naogół czytają chętnie, więcej leżące niż chodzące (t. j. zresztą zrozumiałe), przeciętnie na 1 dziecko przypada 15 przeczytanych książek rocznie. Niektóre książki zwłaszcza bajeczki dla najmłodszych są w niedziele zimowe ilustrowane za pomocą epidjaskopu. Dzieci starsze mają specjalne dni w tygodniu poświęcone omawianiu literatury, pozostającej w czytaniu. Są b. ciekawe dyskusje na temat książki czytanej. Ta żółta szafa nasza jest dla wszystkich wielką przyjaciółką — nie dziw też, że 3 razy w tygodniu jest dokoła niej tłok.

Tabl. IV.
Statystyka z działalności bibljoteki za rok szkolny 1932/33.

Księgozbiór	Tomów	Dzieł
1. Na początku r. było	1012	852
2. Przybyło	25	22
3. Obec. jest	1037	874
Wyszczególnienie		
1. Uczniowska		418
2. Beletrystyka		141
3. Nauczycielska		315
Razem		874

Czytelnictwo w ciągu roku szkolnego 1932/33: Czytelnicy		Chł.	Dziew.	Dor.	**Razem**
1.	W ciągu roku było	70	89	10	169
2.	Ubyło w ciągu roku	41	58	—	99
3.	Obecnie jest	29	31	10	70

Liczba wypożyczonych książek w ciągu roku szkolnego	Przeciętna liczba książek przeczytanych przez 1 ucznia
2549	15

Przedszkole.

Dzieci najmłodsze mają 2 stopniowe przedszkole, czynne przez cały rok i wakacje. Przedszkole nasze spełnia b. ważną rolę, gdyż daje nam dzieci do szkoły już nieco „przygotowane" i oswojone z systematyczną pracą w gromadzie, następnie dostarcza najmłodszym tyle zajęć i radości, że na wypadek choroby ich pani jest powszechny krzyk i niezadowolenie. Te małe może najserdeczniej doceniają znaczenie swojej „szkoły". W ciągu roku sprawozdawczego przeszło przez przedszkole około 100 dzieci.

O wielu jeszcze rzeczach wziętych z życia szkoły pisałoby się, niestety szczupłość miejsca nie pozwala na to. Życie to jednak jest na nasze warunki bogate i posiada swoją głęboką treść, co nie my, ale goście nasi i wizytujący nasz zakład stwierdzają i na co nam zwracają uwagę. Pochłonięci bowiem pracą codzienną sami często zatracamy perspektywę w ocenianiu tego co robimy. Niech więc to skromne sprawozdanie da chociaż przybliżony obraz rozwoju naszej szkoły.

E. Kuroczko

3) Opowiadanie.

Fiołki.

Dzieciom i młodzieży przebywającej na Górce poświęcam.

L.W.

Spłoszone przez Zosię, oburzonene tem wróble przeniosły się na nędzne drzewka i chylący do upadku płot zaniedbanego parku miejskiego.

— Toci leci jak wicher! Mogłaby delikatniej przejść! Myślałby kto, że kaszę niesie i boi się pożyczyć nam nieco. — — — —

Młody, pierwszą swą wiosnę przeżywający samczyk skakał aż z oburzenia po gałązce akacji, na której siedziało kilku z „szarego bractwa". A ponieważ zimę spędził wcale nieźle i wyglądał dość okazale (pulchnie nawet, jakby to określił Mruczek), a i dziś był już na pierwszem dość obfitem śniadaniu u swego przyjaciela, Starego Siwka (co mu zresztą, nawiasem biorąc, nic nie przeszkadzało brać udziału w naradach około drugiego), więc delikatna gałązka trzesła się wraz z nim i zmuszała resztę ćwirków do pociesznego drygania.

— Siedziałbyś spokojnie, żółtodzióbie jeden! - zaćwiergotał gniewnie najstarszy z gromadki, wyszarzały już samczyk. I nie dziwota, że gniewnie. Był jeszcze naczczo dzisiaj — bo cóż to znaczy kilkanaście sennych muszek, 'schwytanych przygodnie, a chudych przeraźliwie i — i na wspomnienie kaszy aż go mdliło wewnętrzu.

Gdy jednak „żółtodziób" nietylko że nie uspokoił się, ale dalej jeszcze zaczął ćwierkać (chociażby dla samej wprawy), tak tem rozjuszył „Starego wygę", że ten poskoczył nagle i dał „smarkaczowi" porządnie (a trochę i znienacka) w łebek, aż — dwa drobne piórka, wyzwolone od swych miejsc zamieszkania, lekko frunęły w górę, uniesione przez żwawy wietrzyk. „Żółtodziób" naturalnie nie pozostał wcale dłużnym, i ufny w swą młodość, zręczność i siłę, rzucił się do walki.

Dwaj zapaśnicy — dwie kulki szarego pierza — potoczyli się aż na ziemię, walcząc z taką zaciekłą zapalczywością, że aż przewracali się wzajemnie wśród obłoku kurzu, jaki wniecili dokoła siebie.

Inne wróble, ciekawe, zaczęły obserwować walkę i z wielkim animuszem krytykować obu zapaśników. Podniecenie, z jakim to czyniły, wyraźnie ujawniało się w ich gwałtownych, nazbyt ożywionych ruchach i w chałaśliwem ćwierkaniu. I w skutku te krytyki skończyłyby się zapewne również nie jedną walką, nie jednem dziobnięciem, a może i utratą nie jednego piórka, gdyby kurz nie przesłonił w samą porę walczących i w ten sposób nie osłabił zapału „rzeczoznawców".

A obłok kurzu wzmagał się z każdą chwilą, i tylko od czasu do czasu wysuwała się z niego to głowa, to znów ogonek któregoś z kłótników, lub obydwaj naraz wylatywali splątani ze sobą lub we wzajemnej pogoni, aby za chwilę znowu zniknąć w tumanie.

Lecz w końcu snać wyczerpały się siły jednego z nich, a może nazbyt dobrze „oberwał", gdyż obłok zaczął się przesuwać po ziemi i dość szybko kierować ku parkanowi, otaczającemu podwórko.

I w chwilę potem z kurzu, jak kamyk, ciśnięty z procy chłopca, wyleciał z wrzaskiem wielkim „żółtodziób", wpadł w szparę parkanu i znikł, przezornie już nie krzycząc wcale.

Za nim pospieszył jeszcze nienasycony tryumfem zwycięzca. Gdy jednak nie zdołał odszukać tamtego w zakamarkach podwórza, powrócił ciężko na ulicę.

— Ha! smarkacz jeden! to łotr! tfu, aż mnie zatknęło. Tom się zdyszał. Ale ma nauczkę. O! porządną nawet. Zapamięta sobie raz na zaw... ale?

— Co to? Nikogo niema? Te łajdaki opuścili mnie! Beze mnie polecieli na śniadanie! O, łotry!..

Rzeczywiście. Całe szare towarzystwo, wcale nie ciekawe wyni-

ku gonitwy ich towarzyszy, hurmem pospieszyło w poszukiwaniu śniadania.

Samczyk był z tego bardzo niezadowolony. Zawsze co gromada, to gromada. Niespokojnie więc kręcił się wokoło, troszkę skacząc, troszkę podlatując.

— Hm! — Gdzie też oni mogli się udać? Sam nie wiem. Doprawdy, głowę straciłem przez tego młokosa.

Zajrzał jeszcze tu, zajrzał tam ale nadaremnie. Nigdzie ich nie było. Z nikąd nie dolatywały ćwierkania wróblęce.

Zniechęcony, począł się namyślać, gdzieby tu samemu lecieć. Głód grał mu w brzuszku nie wesoło, a po walce czuł się przy wyśmienitym apetycie.

W tem na poddaszu skrzypnęło okienko, ukazała się mała rączka i zaraz zniknęła; został się zato duży, ugotowany ziemniak.

Skrzywił się nieco stary wyga, ale wkrótce siedział obok niego i probował. Nie obawiał się wcale błyszczących, zachwyconych oczek, które bacznie przypatrywały mu się z głębi mieszkanka.

— Hm, niezły. — zawyrokował.

I nie wiem, czy przyczyną był naprawdę głód i apetyt, czy też ambicja rodu ćwierkowego — jeśli można, nic nie zostawiać — dość, że ziemniak zmniejszył się przerażająco szybko, aż wreszcie znikł zupełnie.

Do chodnika ulicy podjechał wspaniały lśniący czystym, ciemnym lakierem samochód.

Zanim jeszcze zatrzymał się, już Józek-gazeciarz stał na jego stopniu i natychmiast otworzył drzwiczki, a zaglądając śmiało do wnętrza, zawołał pytająco:

— Warszawski?... Express?... ABC?...

Siwy pan, siedzący w samochodzie, spojrzał z miłym uśmiechem na sprytnego chłopca i, wysiadając, rzekł:

— No, to niech już będzie Kurjer Warszawski.

Chłopiec podał żądany dziennik i szykował sobie drobne, by wydać reszty z otrzymanych pięćdziesięciu groszy, gdy siwy pan, nie czekając, odwrócił się i wszedł — do pobliskiego sklepu.

Chłopiec wpadł za nim.

— Proszę pana, reszty!

Siwy pan spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale, nic nie mówiąc, wziął pieniądze, zato skoro tylko wyszedł ze sklepu, skinął na kręcącego się koło samochodu Józka i odezwał się doń:

— Dzielnie, mój mały. Podobałeś mi się. Jakżeż ci się powodzi?... Jak interesy?...

Malec, zadowolony z pochwały, a dumny z zapytania, zesunął zbyt wielką na jego głowę czapkę na bakier i odparł śmiało:

— Dziękuję panu. Doskonale. Żeby tylko tak dalej! głowę ma się na karku, to i musi iść.

— To wspaniale. Cieszę się z tego. Ale, słuchajno, powiedz mi, ileż ty zarabiasz?

— Bo! proszę pana, co tu gadać. Różnie bywa. Czasem, to i ze trzy złote — człowiekowi kapnie jak nic. A czasem, to i pół złocisza niedorachujesz się wieczorem. Ale co tu... proszę pana... innym jeszcze gorzej idzie...

— Gorzej, mówisz?

— Ba! i takich jest dużo. O! ma pan dobry przykład. Ta mała, tam, pod murem. Niech mnie kaczki zdziobną, jeśli ona codzień zarobi na chleb.

— A cóż ona sprzedaje?

— Co?... Fiołki!... Paskudztwo — mówię panu. Jak nie sprzeda — zwiędnie to, zepsuje się wszystko i pieniądz stracony... Do niczego taki handel.

— Fiołki?... Czekajno, mały. Widzisz, to ja przecież miałem właśnie kupić fiołków... Tak mnie oto proszono, a jabym zapomniał zupełnie. Ej, jak ci tam?...

— Józek, proszę pana.

— A więc, mój Józku, pobiegnij ty do niej i przyprowadź mi ją tu.

Józek w jednej chwili był przy Zosi.

— Mała! Jazda! Fiołków chcą! Okazja, mówię ci!

I energicznie pociągnął dziewczynkę za sobą do samochodu, w którym siedział już siwy pan i czekał.

— Masz fiołki?... Doskonale. Biorę wszystkie. Ile mam płacić?

Zosię ogarnęło zdumienie.

— Co?... Ten pan chce kupić wszystkie fiołki naraz? Wszystkie?...

Zauważył jej wahanie Józek-gazeciarz i postanowił pomóc dziewczynce. Spojrzawszy więc bystro na talerzyk, zwrócił się do siwego pana, który przez ten czas przyglądał się uważnie Zosi.

— Dwanaście bukiecików, proszę pana. Każdy po piętnaście groszy — to razem.. złoty osiemdziesiąt.

Siwy pan sięgnął po pieniądze, odliczył starannie, a podając je małej, zwrócił się do szofera.

— Janie! zajmijcie się kwiatkami!

Ale Zosia tymczasem zdążyła już oprzytomnieć.

— Proszę pana! Za dużo! One tyle...

— Nie, proszę pana. Nic podobnego. — Wtrącił się jeszcze Józek, zezując przecież wciąż w boki na przechodniów, czy nie ma czasem amatora na dzienniki. — Nic podobnego. Ona wprawdzie sprzedaje bukiecik za dziesięć groszy sztuka, ale, niech pan sam spojrzy, jakie to duże bukiety!... Inni sprzedają zaledwie po parę, najwyżej kilka kwiatków. A tu? Co?...

— Tak, tak. Masz słuszność Bierzże, mała, pieniądze. Prędko Spieszę się.

Zosia oddała fiołki szoferowi i już sięgnęła po zapłatę, gdy wtem

nagle przypomniało się dziewczyn-ce, że przecież dzisiaj miała iść do szpitala, do syna pani Andrzejo-wej, i zanieść mu trochę fiołków.

— Ach, mój Boże!...

— Proszę pana! Ale... ale... bo ja... ja mogę sprzedać tylko dzie-sięć bukiecików... tylko dziesięć— powtórzyła.

Siwy pan spojrzał na nią zdzi-wiony. Jednocześnie grymas jakiś osiadł mu na takiej dobrej dotych-czas twarzy.

— A to co znowu?... I czemu?... Ja chcę wszystkie!...

— Kiedy ja muszę dwa zostawić. Muszę, proszę pana. Inaczej nie mogę...

Siwy pan zniecierpliwił się. Szo-fer stał, wahając się, i czekał.

— Słuchaj no, mała! Albo wszy-stkie, albo wcale. Wybieraj!

Zosia zmartwiała.

— O Boże! Boże! Takie zmart-wienie! Ale obiecała. Przecież on chory!...

Tymczasem Józek, który już za-bierał się był do odejścia, usły-szawszy słowa siwego pana, naraz przystanął i spojrzał na starca oczami, pełnemi zdumienia i... smut-nego rozczarowania.

— Nie mogę, proszę pana. Sprze-dam tylko dziesięć...

Siwy pan już nie pytał więcej. Spojrzenie Józka zmieszało go, wy wołując na jego bladej twarzy lekki rumieniec. Sam zwrócił Zosi dwa bukieciki, zapłacił za resztę i skinął zaraz na szofera.

Samochód drgnął i ruszył szybko.

W tej samej chwili na talerzyk Zosi upadł jeszcze trzeci bukiecik, najpiękniejszy ze wszystkich, a u-szu dzieci doleciał jeszcze drżący głos:

— To dla ciebie, mała! Bywaj-cie zdrowi!...

— — — — — — — — —

— Dowidzenia, mała. Dziękuję ci bardzo i za kwiatki i za to, żeś mnie odwiedziła. Bardzoś mnie ucieszyła fiołkami. Będę miał wspa-niały ogród w sali. Ale... czy ty wiesz, czyje to są kwiatki?

Zosia, która już odchodziła od łóżka chorego, zatrzymała się i spojrzała zdziwiona.

— Czyje one są?... No przecież.. były ogrodnika, potem moje, a te-raz pana, bo...

— Nie, nie. To tylko tak ludzie mówią. To tylko się ludziom tak zdaje. One są dla wszystkich. One są kwiatkami Nadziei... Wiem na-prawdę, czytałem o tem. Fiołki to kwiatki Nadziei. Czy teraz rozu-miesz, dlaczego jestem taki urado-wany? Rozumiesz?...

Zosia skinęła głową. Zrozumiała. Uśmiechnęła się więc jeszcze do chorego i wybiegła z sali. Radość biła jej z twarzy, kiedy opuszcza-ła szpital...

Na ulicy czekał już na nią Józek.

— Ach! jesteś. Myślałam, że nie przyjdziesz. Rety tylko tak...

Nie skończyła.

— Co: tylko tak?... Coś myślała?... Już!... z babami to tak zawsze. Człowiek obieca przyjść i pomóc, a tu masz tobie. Niedość, że naczekałem się? że mogę spóźnić się do „Kurjera" po Wieczorowy?... Eee... z fiołkami i z ba...

Machnął pogardliwie ręką.

Zosia posmutniała. Na chwilę, bo gdy znowu spojrzała na zacietrzewionego malca — o mało nie wybuchła głośnym śmiechem. Już w dużej, po kolana sięgającej kapocie, w dużej, zawsze na oczy spadającej czapce, i w dużych, na wszystkie strony powykrzywianych butach malec wyglądał ogromnie pociesznie, a co dopiero, gdy jeszcze zaczął się żywiej ruszać i kręcić w miejscu. Naprawdę można było „boki zrywać ze śmiechu".

— No, no. Tylko mi nie rechotać. Obejdzie się bez żab. Zresztą, pal wszystko sześć. Idziemy. Czasu mało, a za godzinę mam być w „Kurjerze".

I poszli. Chłopiec naprzód, śmiało, szeroko stawiając nogi; dziewczynka kilka kroków za nim, drepcząc drobno, lękliwie.

Ale nie przeszli wiele, kiedy Józek zatrzymał się, poczekał na swą towarzyszkę i, idąc już obok niej, zaczął mówić:

— Więc, mała.—

Zosia się poruszyła. Uszu Józka doleciał cichy, usilnie tłumiony chichot. Malec skoczył gwałtownie.

— Co?... Znowu?...

— Nie no... bo...

— Bo co?

— Bo... bo przecież to może i...

— I co?

— I... i niewiększy jesteś odemnie, a mówisz: mała.

Chłopiec nagle znieruchomiał. W błyszczących oczach, zwróconych teraz groźnie na dziewczynkę, zamigotały jakieś niepokojące ogniki.

Gdy Zosia to spostrzegła, przeraziła się swojej własnej śmiałości.

— Jakżeż ona mogła!... Teraz napewno „oberwie"... I to z własnej winy!...

Ale chłopiec przecież opanował się. Szybko podszedł do dziewczynki, wziął ją za rękę i gwałtownie pociągnął pod ścianę domu, przed którym oboje znajdowali się.

Dziewczynka, którą opuściła już chwilowa śmiałość, nie stawiała chłopcu żadnego oporu.

A Józek ustawił ją plecami do ściany, jedną rękę położył na głowie dziewczynki, a drugą uzbrojoną w tylko co wydobyty z kieszeni duży gwóźdź nakreślił na murze domu poziomą rysę w miejscu, dokąd dziewczynka sięgała wzrostem. Następnie, odsunąwszy dziewczynkę na bok, stanął sam na jej miejscu i zmierzył swój wzrost. Potem zwrócił się do dziewczynki i, ukazując jej palcem obie rysy, rzekł krótko:

— Patrz! Moja wyżej. Jesteś: mała.

Zalękniona dziewczynka skinieniem głowy zgodziła się na to. Była mała.

— Teraz jazda za mną i... ani mru-mru. Słuchaj tylko, co będę mówił.

— Więc idziemy do mego opiekuna. Jak ci już mówiłem, on jest ogrodnikiem w miejskim parku. Porozmawiam z nim i jestem pewien, że będziesz mogła u niego kupować fiołki taniej niż gdzie indziej. I tak przecież tamci, co sprzedają z wozów, już wkrótce nie będą mieli kwiatków; gdy tymczasem w ogrodzie mego opiekuna to jest dużo miejsc cienistych, gdzie fiołki kwitną późno w lato; w zeszłym roku to podobno ostatni kwitł w lipcu nawet. Widzisz więc, że będziesz miała towaru na długo. Oby tylko ludzie kupowali. Ale na fiołki to prawie każdy łasy, to i kupi.

— Ale czy on... nie, nie, nie już...,

— Co on?

— Nic, nic.

No, mów już dalej, jakżeś zaczęła.

— Bo... czy on zechce mi sprzedawać?

Józek aż się zatrzymał.

On?! Napewno! Już ja to zresztą załatwię.

A gdy ruszyli dalej, malec, spoglądając z boku na dziewczynkę, szepnął do siebie:

— On-by nie zrobił tego? Jeszcze, gdy mu powiem jaka ty jesteś!...

— Będziesz miała fiołki, będziesz. Napewno. Mówię ci, co to za morowy chłop. Poznałem go w zeszłym roku. Wyciągnął mnie z pod dorożki i gdy dowiedział się, żem z przytułku — zabrał ze sobą i zaopiekował. Biedowaliśmy z początku. On tylko co wrócił z niewoli i był bez pracy. Ale na jesień został ogrodnikiem i razem teraz pracujemy. Z początku to nie dawał mi sprzedawać gazet. Chciał, bym chodził do szkoły. Ale przecież wytłumaczyłem mu, że to, czego uczą w pierwszym oddziale (a wiem czego uczą od dzieciaków, które chodzą do szkoły), to wszystko umiem już. Bo czytać nauczyłem się z gazet, a pisać też już próbowałem kijem po alejach w parku, a gwoździem po ścianach domów. Będąc więc ten rok ganiał jeszcze z gazetami, uciułam trochę grosza, a na jesień pójdę odrazu do drugiego, a pieniądze będę miał i na porządniejsze ubranie i na książki, ale co tobie?

Dziewczyna słuchając wszystkiego co mówił chłopiec, miała łzy w oczach.

— Słyszysz? Co tobie? Czego się mazgaisz? Tego nie lubię! Możeś głodna?

Zosia potrząsnęła główka przecząco.

— Nie, tylko widzisz: fiołki to... to kwiatki Nadziei, a ja też... miałam tatusia... i on też w niewoli... i też był... ogrodnikiem...

— Psia...

Józek schwycił dziewczynkę mocno za ramię i, potrząsając nią mocno, wykrzyknął.

— Gadaj, na Boga, jak ci na imię?. On mówił też, że... ale gadaj... prędko...

— Zo... Zosia...

Józek puścił ją nagle i odwrócił się. Ale natychmiast prawie znowu zwrócił się do dziewczynki i zmieniony bardzo na twarzy, blady, drżący cały spytał z trudem:

— Byliście przed trzema laty jeszcze pod Wilnem, prawda? czy tak?

Zosia była zdziwiona i zestraszona tą nagłą zmianą w usposobieniu Józka, ale skinęła głową.

— A... a... gdzie twoja mama i mały?

— Są tu w Warszawie, ale skąd ty wiesz?

— Czekaj... i... i... ty nazywasz się Zosia Skrawska? czy tak?

— Ależ tak, tak. A tatuś to nazywał się Janusz Skrawski.

Chłopiec był blady jak ściana.

Chwil parę patrzył błędnemi oczyma na przerażoną twarzyczkę Zosi, wreszcie łyknąwszy głęboko powietrza rzekł wolno, z widocznym przymusem.

— Zosiu!... On... to twój... tatuś!

I nagle, zanim jeszcze dziewczynka zdołała zrozumieć te niespodziewane słowa, Józek chwycił ją za rękę i, krzyknąwszy głośno coś niezrozumiałego, porwał ją za sobą.

I za chwilę zniknęli za zakrętem ulicy, tam, gdzie widać już było pierwsze pręty żelaznego parkanu.

A na pękniętej, cementowej tafli chodnika pozostał zgubiony ostatni bukiecik fiołków — kwiatków Nadziei.

L. Wiśniewski.

Młodzieży zdrowa. Pamiętaj, że w Polsce mamy setki tysięcy dzieci i młodzieży chorej na gruźlicę. Z tej armji zaledwie ułamek racjonalnie leczy się. — Przeczytaj nasze pisemko, daj je swym kolegom, rodzicom i znajomym. —

Uświadamiajcie ich wszystkich o konieczności powszechnego leczenia dziecka przewlekle chorego. —

WITAJ NAM...

(na mel. „Witaj majowa jutrzenko...")

Witaj nam droga wiosenko
Wróć radość życia słoneczną.
— Zapukaj w dziecka okienko,
Przepowiednię daj mu szczęsną!

Zdrowie daj, zawitaj,
W krasie Górki zakwitaj! (bis)

I serduszko słabe cieszy,
Wdzięk i czar Twój nieśmiertelny
„Ludek-dziecięcy“ weselny
Na werandkę, w brzózki spieszy!

Radość daj, zdrowie daj!
Dzieci do nas zapraszaj! (bis)

„W szklanem domeczku“ zamieszka,
W piasku chorą nóżkę grzeje. . . .
— Czarodziejska wiosny wieszczka
Zdrowiem tchnie, ziści nadzieje. . . .

Dzieci więc zapraszaj,
Piękno Górki poznać daj! (bis)

Dzieci różnych szkół-uzdrowisk całej Polski! Zawiązujcie ze sobą ścisły kontakt, pisujcie do siebie, opisujcie swe przeżycia i wrażenia, oraz warunki, wśród których żyjecie.

Redakcja „Górki" chętnie podejmuje się pośrednictwa w wysyłaniu listów.

Pisujcie wprost do oddziałów klas — a znajdziecie zawsze chętnych do odpowiedzi.

AVE...

Szedł, szedł ciągle, wytrwale, trzymając za uzdę wychudłego od trudów, jedynego towarzysza niedoli, swego konia ułańskiego. Szedł blady, w ranach z obwiązaną głową. W zmęczonej czaszce tłukły się myśli obłąkane, rozpaczne beznadziejne...

Ku wiosce swojej rodzinnej szedł...

Czy znajdzie ją jeszcze? Czy zamiast swojej chaty nie znajdzie kupy szarych popiołów? Czy zamiast zielonych pól, nie znajdzie porytego kartaczami ugoru?

Ale szedł! Drogę miał daleką jeszcze, głodny był i wymęczony. Jedynym bochenkiem czerstwego żołnierskiego chleba podzielił się już rano ze swoim wiernym towarzyszem, a teraz już wieczór szedł...

Patrząc na postrzępiony swój mundur, na obwiązaną rękę, przypomniał sobie wszystkie straszne sceny bitwy Radzymińskiej. Pamiętał jak pułk jego, pułk białych, warszawskich ułanów pędził z furją i wściekłością tratując wszystko po drodze. Słyszał jeszcze tupot końskich kopyt, słyszał szczęk gołych, wyciągniętych rapierów i lanc ułańskich, huk pękających granatów. Czuł duszący zapach prochu

krwi, która zlała to pole Radzymińskie, krwi pobratymczej, Polskiej, krwi wrogów i swojej własnej. Czuł straszny, piekący ból, jaki mu zadał szrapnel nieprzyjacielski. I zamajaczyły mu przed oczami młode, pałające twarze, twarze szesnasto siedemnastoletnie. Widział wyraźnie czarną, długą sutannę okrywającą ciało nikłe i wątłe, w którym mieszkał wielki duch i wielkie serce. Widział ręce wzniesione, głos usłyszał potężny, jakby nie z tych słabych piersi wydany. I to wszystko walczyło — darło się w bój na oślep, z szałem, z zapamiętaniem, z rozpaczą i nadzieją w oczach, bez chwili namysłu i cienia wahania. A nad tą walką, nad tym polem strasznym niebo było pogodne, radosne jakieś, uśmiechnięte i różowe.

Gdzieniegdzie tylko sine dymy osłaniały nieboskłon i zachodzące słońce, które grało promieniami na falach, szarej Wisły.

A potem ów wieczór chwały pełen i jęków i to pole posępne, trupami i bronią usiane, śmierci pełne, ale radosne, tryumfalne, zwycięskie. Widział sztab generałów, Wodza widział w siwym mundurze, na białym jak mleko koniu, objeżdżającego pobojowisko. Później z głową obandażowaną z ręką na temblaku poszedł do swego pułkownika i prosił go o chwilowe zwolnienie z wojska, aby mógł iść do swej chaty, rodzinę i matkę powitać.

I wyruszył o świtaniu ku wschodowi, kierując się najpierw gościńcem, potem polną drożyną, a potem tylko słońcem, a w nocy gwiazdami.

Szedł, szedł ciągle i wytrwale. Koń jego zwracał swój poczciwy, najwierniejszy łeb ku panu i pytał modremi jak toń morska głębokiemi oczami: „czy daleko jeszcze"?

Ale pan nie odpowiadał, nie patrzył nawet, tylko posuwał się naprzód powoli, ze zwieszoną na piersi głową i trupią bladością na twarzy. Czasami jednak brała go litość nad tem stworzeniem, podnosił głowę i patrzyli sobie wówczas w oczy z jakiemś dziwnem uczuciem przywiązania i miłości.

Po trzech dniach wędrówki o głodzie i chłodzie, bo pomimo, że był sierpień wiatr zrywał się czasem zimny i dreszczem przejmował wynędzniałe ciało, nadzieja zaczęła już odbiegać i człowieka i konia

Gdy na skraju lasu kładli się wspólnie do spoczynku, gdy ułan głowę oparł na siodle, a koń łeb wyciągnął na ziemi i szczypał mizerną trawkę, człowiek myślał, że chaty już pewnie nigdy nie zobaczy, matki za nogi nie obejmie, a koń również zapewne w swem zwierzęcym sercu stracił nadzieję zobaczenia stajni, takiej ciepłej i przytulnej i pokosu u starego żłoba.

Ułan przypomniał sobie we śnie swoich kamratów, swój pułk, pułkownika, przypomniał sobie siwy mundur i stalowe jak klinga miecza, sokole oczy Wodza. I tęsknota jakaś dziwna chwytała go za

serce, za tym pułkiem, który kochał tak jak tamtę swoją wioskową rodzinę. Myśli znowu jak obłąkane snuły mu się po mózgu, przeszywały go, łzy wyciskały żal...

O świtaniu znów szli dalej i dalej bez przerwy. W czwartym dniu wędrówki koń zaczął słabnąć. Szeroka jego pierś zapadła, z płuc wydobywał się chrapliwy oddech, krew z pianą zmieszana wypływała z pyska, coraz powolniej stąpał, coraz niepewniej stawiał kopyta, coraz bliżej i bliżej był — śmierci. Żołnierz z trwogą patrzył na tę jedyną, bliską w tułaczce istotę, która choć niema napozór i bez czucia, przecież lepiej i goręcej czuła niż niejedna może dusza — ludzka.

W miarę jak szli i ułanowi sił ubywało. Kroki stały się niepewne, chwiejne, rany więcej dolegały, głód zaspokojony parę dni temu skromnym posiłkiem w wiejskiej chałupie dokuczać znowu zaczął. Świata widać nie było, bo lasem szli, wązką ,drożyną. Nad niemi było tylko niebo raz słoneczne, rozpalone, raz gwiaździste, chłodne. Ale rankiem piątego dnia wyszli z lasu i przed niemi rozpostarły się wielkie spokojne pola mazowieckie, ciche, senne jeszcze, mgłą lekką przykryte, bo słońce zaledwie zaczęło wschodzić. Gdzieś hen, hen na horyzoncie wyłaniały się z ginących przed dniem mroków lekkie kontury chat i cieniutkie pasemka błękitnawych dymów wioskowych. Otucha, ale słaba wstąpiła w serce żołnierza. Nie szli już dalej. Zatrzymali się na skraju lasu i czekali aż wstanie dzień. Słońce powoli, powoli wytaczało czerwoną tarczę z nad nizin. Czajki zaczęły krzyczeć nad trawami, skowronek wzbił się w górę, nad lasem stada wron i kawek zawirowały i opadły w głąb leśną. Wietrzyk lekko poruszył żywicznemi gałęziami i zapach się wzniósł miły, orzeźwiający.

Był dzień.

Ruszyli znowu w drogę. Ułan trzymał konia za uzdę i powolnym, stale stale słabnącym krokiem szedł obok. Lecz w pewnej chwili poczuł, że lejce wysuwają mu się z ręki. Może to słabe palce utrzymać już uzdy nie mogą? Nie! Tylko koń jakoś dziwnie się poruszył, zatoczył, potem nagle runął na ziemię. I patrzył tak rzewnie na swego pana, tak smutno, z takim wysileniem w gasnących oczach, że wątpliwości żadnej już nie było. Konał.—

I został żołnierz sam, pośród tych bezmiernych pól nad trupem swego konia, blady, sam więcej do trupa podobny. Żal, ból, tęsknota, zmęczenie, głód tak go wyczerpały, że parę kroków najpierw zrobiwszy stanął i z wysiłkiem powrócił na dawne miejsce. A w tem dzwon ozwał się hen, gdzieś daleko, jakby za światem. Miarowe, dźwięczne tony napełniły tę równinę radosną kaskadą głosów. To dzwon kościelny na „A n i o ł" bił z wioski.

Żołnierz oczy wbił w jeden daleki punkt, zobaczył maleńką wieżyczkę, porwał się nagle z miejsca, coś w nim się odezwało. Jakieś echa podobne, słyszane dawniej, ach jak dawno — może w dzieciństwie? Sił już nie stało. Chciał iść, biec, ale nie mógł. Oczy zaszły mgłą, cień, potem błysk nagły w nich przewiał, błysk jakiejś tęsknoty, żalu, ale też ogromnej radości i szczęścia i szepnął zbielałemi wargami obsuwając się na ziemię i wyciągając ramiona jakby tę matkę chciał objąć rękami: Ave... Ave patria.!

Napisała G.

Zdrowe dziecko—to przyszłość narodu i świata. Złóż najdrobniejszą ofiarę na fundusz leczenia dziecka.

WYWIAD.

A, dzień dobry Motylińsiu! — jak się pani czuje?
Widzę, że niezgorzej, nawet już haftuje...
A jakże z gorączką, a czy pani pluje?
W spluwaczkę, to dobrze, ale czy gotuje
Ją też pani Motylińsia, gdy ją popłukuje?
Plwocinę w dół kopie, poczciwa babina —
Widzę, że naprawdę ufać nam zaczyna.
Trzeba być ostrożną, aby ulżyć sobie,
Innych nie zarazić, bo to jest na dobie,
Że ludziska nie słuchają rady i przestrogi,
Plują wciąż na ziemię, zbierają pod nogi
I roznoszą te zarazki po całem mieszkaniu,
Nie kropią podłogi przy jej zamiataniu,
Okna nie otworzą, powietrza się boją.
Nie mają pojęcia, że na zdradzie stoją
Sami sobie, swoim dzieciom, całemu domowi,
Miast dbać o to, aby byli weseli i zdrowi.
Jak też pani Motylińsiu, czy sypiacie sami,
Czy jeszcze jak dawniej ze swymi chłopcami?
„Ryś i Adaś nie chcą spać u swej mamy,
Mówią, że ta pani kazała spać samej —
I odkąd tu złota paniusieczka chodzi,
To moich chłopaków nic już nie obchodzi
Choć ma co smacznego, bo dobry mój stary,
Gdzie tylko pojedzie przywozi mi dary,
To jakie ciasteczko, to cukierków trochę,
Ale Ryś i Adaś nie są chłopcy płoche.

Od mamy nie jedzą, bo mama krwią pluje,
Wolą jeść tam w kuchni co babcia gotuje.
A co już całować wcale się nie dadzą.
Jak chcę pocałować to się zaraz wadzą:
Moja mamo droga, mama już słyszała,
Że całować dzieci pani nie kazała,
A jeżeli mama nas obydwu kocha,
To niech nie zaraża zarazkami Kocha.
Ręcznik mam też własny i talerze swoje.
Nie chcę ich zarażać, bo się o nich boję."
Może Pan Bóg dobry i zdrowie powróci!
Niech się Motylińsia tak bardzo nie smuci.
„Muszę leżeć w domu, to mi się tak nudzi,
Jabym chciała chodzić, choć patrzeć na ludzi...?
Przecież można łóżko wynieść do ogrodu
I tak leżeć w cieniu, okryć się od chłodu.
Na powietrzu zdrowiej i siły przybywa,
A radość ze słonka twarz barwą okrywa.
Czy też pani Motylińsia lekarstwo wyżyła,
Co jej dał nasz doktór, gdy w przychodni była?
„Paniusieczko złota, lekarstwa nie brałam.
Przyznam się szczerze, że się bardzo bałam —
Może to trucizna, ukróci mi życie...
Podobno w przychodni trują ludzi skrycie"?
Motylińsiu moja, próżne te obawy,
Przychodnia nie po to, aby dla zabawy
Męczyć chorych ludzi, prawić im morały,
Teraz o tem myśli świat społeczny cały
Jakby przyjść z pomocą cierpiącej ludzkości,
Co choroby męczą w zaraniu młodości.
Więc też, niosąc pomoc, zakłada przychodnie,
Aby każdy chory mógł tam iść wygodnie,
Zasięgnąć porady, zbadać swoje zdrowie,
Bo w takiej przychodni, to wiele się dowie...
Później higjenistka też z radami spieszy,
Pomoże choremu, smutnego pocieszy.
Sama pani Motylińsia już się przekonała.
Odkad chodzi do nas o zdrowie zadbała,
Dzieci nie całuje i do serca bierze,
Sama zrozumiała, że się życzy szczerze.
Do widzenia pani Motylińsiu miła,
Z całej duszy życzę niech powróci siła.

„Niechże paniusieczce Bóg to już nagrodzi,
Że się nic nie boi do gruźlików chodzić"
Do widzenia chłopcy, a słuchajcie mamy,
Że chora i smutna pamiętajcie sami!.

Adela Wojtasiewiczówna.

Pomagając propagowaniu naszej idei — przyczyniasz się do ratowania chorych dzieci od kalectwa, a nawet śmierci.

Pamiętaj o swym obowiązku i odpowiedzialności przed przyszłemi pokoleniami. —

AUDYCJA.

Drogiej Mateczce Radjowej p. Wandzie Tatarkiewicz-Małkowskiej

Radjo..... Mówią o nas..... o Górce..... Przymykamy oczy marząc,— słuchając jakby przepowiedni „dziś i jutra naszego"! — Czujemy szlachetne porywy, szczere współczucie, umiłowanie ideału - zdrowia dziecka..... Czujemy zapał, — wiarę w uzdrowienie i pożyteczność naszą..... Jak najcenniejszy balsam płyną słowa, słowa, które do łez wzruszają, które koją cierpienia nasze, ba — nawet czasem pozwalają zapomnieć o nich. —

I jest nam dobrze, ciepło, serdecznie i..... jakby odrodzeni..... ludziom, którzy pragną i życzą nam zdrowia, Wielkim Myślicielom — Idealistom naszym, niemal Tytanom w pracy nad zdrowiem ciała i ducha naszego... ślubujemy, że wiary w nas nie zawiedziemy, że już zdrowi, stwarzać będziemy wspólne jutro, jutro zdrowia i dobra Państwa i narodu!

Dzieci.

Głos z kolonji.

Jak pierwsze jaskółki, tak i my pierwsi przyjechaliśmy na kolonję. Jest nas dziesięcioro. Każdy z uśmiechem na ustach czekał kiedy zobaczy ukochaną Górkę. Z całej grupy było dwoje którzy już od kilka lat spędzają wakacje na kolonjach, więc objaśnialiśmy nowicjuszom, o tutejszych zwyczajach i zapoznawali z okolicą.

Gdy weszliśmy do pawilonów, twarze nasze przyćmił smutek ponieważ pawilony były puste, a myśmy myśleli, że będzie gwarno.

Na drugi dzień panna Jagódka (nasza wychowawczyni-pielęgniarka) wzięła nas na spacer. Po obiedzie przyniesiono krokiet, który nam b. przypadł do gustu. Obecnie już się porządnie wgospodarowaliśmy, mamy piłkę, siatkówkę i inne gry. Jest nam już zupełnie wesoło. Dzieci przyjeżdża coraz więcej, kolonja budzi się z zimowej martwoty, odzyskuje swój charakter.

Paul Kazimierz.

KRONIKA.

Trzeci maj.

Uroczystość Konstytucji Trzeciego Maja uświęciliśmy, jak to czynimy każdorocznie porankiem.

Na dużej werandzie zielonej promieniami słońca, ozdobionej zielenią i chorągiewkami zgrupowano wszystkie dzieci leżące w przyległej sali, tuż pod oknem zebrał się chór, który przy akompanjamencie pianina odśpiewał kilka pieśni narodowych.

Jedna z dziewczynek w krótkich słowach opowiedziała znaczenie konstytucji oraz zcharakteryzowała ówczesne czasy.

Na zakończenie szereg wierszy wypowiedziały dzieci leżące, które czuły się b. dumne ze swoich ról.

....

Wizyta miłych gości.

W drugi dzień Zielonych Św. bawili na Górce oczekiwani goście z instytutu pedagogji specjalnej z p. Grzegorzewską na czele.

Goście zwiedzili sanatorjum, kolonję, oddział psychopatycznych i inne objekty.

Na drugi dzień wycieczka odjechała.

....

Wycieczki.

W ostatnich dniach roku szkolnego liczne wycieczki ze szkół okolicznych zwiedziły nasze uzdrowisko. Młodzież i dziatwa żywo interesowały się naszem życiem, urządzeniami i szkołą, która jest b. różna od ich szkół.

....

Powrót z urlopu wypoczynkowego p. Dobrowolskiego.

Po miesięcznym pobycie na urlopie wypoczynkowym w Wiśle powrócił do pracy kierownik p. Dobrowolski. Życzymy mu dużo zdrowia.

....

Sezon się rozpoczął.

W tym roku nieco później niż po inne lata rozpoczął się sezon w kolonji. Sezon jednakże zapowiada się b. dobrze. Już kilka pawilonów letnich zakipiało życiem.

W najbliższych dniach zapełnią się wszystkie. I znów w lasku naszym rozpocznie się życie, zabawy, śpiewy

Do basenu z siarczanką każdodziennie będą maszerować szeregi naszych koleżanek i kolegów, znów

plaże będą się zapełniały bronzowymi posążkami wygrzewających się małych pacjentów.

Witamy was koledzy nasi i koleżanki z różnych miast naszego kraju i życzymy Wam dużo zdrowia, sił do życia i pracy.

....

Koniec roku szkolnego.

Dnia 14 b. m. zakończyliśmy rok szkolny. Dużo teraz mamy wolnego czasu, który chętnie spędzamy na powietrzu w brzózkach lub na spacerach.

Więcej teraz czytamy książek i wypoczywamy, ażeby nabrać sił na przyszły rok szkolny.

....

Wyjazd kierownika szkoły p. Kuroczki.

Po zakończeniu roku szkolnego wyjechał na kurs organizowany w Sandomierzu dla kierowników i nasz kier. p. Kuroczko.

....

Odznaczenie.

Dnia 25 b. m. obchodziliśmy uroczystość na Górce. P. Starosta w imieniu rządu udekorował odznaką zasługi na polu oświatowem przełożoną naszego uzdrowiska p. H. Grodzicką.

....

Hodowla jedwabników.

W tym roku po raz pierwszy rozpoczęto w charakterze próbnym hodowlę jedwabników, którą prowadzą dzieci pod kierunkiem p. Żółcińskiej. Rozpoczęto od pięciu gr. jajeczek rasy żółtej która, najlepiej się u nas udaje.

Obecnie jedwabniki mają już około trzech tygodni i już trzy razy zmieniały skórę.

Liści morwowych dostarczamy im z naszego ogrodu.

Jedwabniki są już dosyć duże i b. żarłoczne. Hodowla jednakże nie rozwija się zupełnie dobrze, ponieważ ciągła zmiana pogody ujemnie wpływa na cele rozwoju.

....

Zapisujcie się na członków T-wa Przyjaciół Górki.

Lista ofiar na rzecz Tow. Przyj. Górki za miesiąc maj 1933 r.

Złożono poprzednio Z przeniesienia . . .	zł.	6.950.51
Wyjęto ze skarbonki	„	7.50
Od pracowników Górki za prenumeratę	„	37.50
„ „ „ „	„	12.50
Z. Łaszczowa Brześć n/Bugiem	„	6.—
Do przeniesienia . . .	zł.	7.014.01

Z przeniesienia . . .	zł.	7.014.01
Kazimierz Srokowski, Warszawa	„	5.—
Profesor Akademji Górniczej Inż. Sarjusz Bielski, Kraków Sienkiewicza 23	„	20.—
Zdzisio i Lusia Ziemkiewiczowie	„	3.—
V kl. Szkoły w Wylowie, p-ta Przecław	„	1.34
Marja Sordylowa, Biała k/Bielska	„	1.—
Wiesław Domaniewski, Paryż XVIe, rue Massenet 15	„	9.—
Wandzia Ceraska, Ciechanowice	„	1.—
A. Żarski Pruszków, Stalowa 20/2	„	3 —
N. Stecka Milejów, skrzynka 11	„	1.50
Miejska Bibljoteka Dla Dzieci, Dąbrowa Górnicza	„	6.—
Józef Radzymiński, Lublin, Krak.-Przedm. 56.	„	20.—
Daniel Lechkowiec, Suchodoły, pow. Włodz. Wołyński	„	6.—
Romuald Jarmułowicz, Częstochowa, 2-ga Aleja 31	„	6.—
Kl. IV i V w Szkole Kocierz ad Moszczanica, p-ta Rychwałd	„	1.—
Szkoła Powszechna w Brzechowie, p-ta Daleszyce	„	1.—
Maurycy Karo, Łódź, Dowborczyków 3	„	3.—
Tadeusz Bogdan Podlaski, Warszawa, Franciszkańska 19	„	0.50
Władysław Nowiński, Sosnowiec, Nowo - Pogońska 30	„	3.—
Josek Mapa, Chmielnik, Rynek	„	0.50
Wincenty Żubrowski, Nadleśnictwo Busk	„	1.—
Magistrat m. Radomia	„	6.—
Janusia Barwińska, Warszawa, Miedziana 4 m. 7	„	6.—
Kaz. Srokowski Warszawa	„	5.—
Kierownictwo Szkoły Powsz. w Janowicach	„	0.56
Szkoła Powsz. Męska Pińczów	„	4.30
„ „ w Czekaju, p-a Sędziszów	„	1.16
Kierownictwo 7 kl. Publiczn. Szkoły Powsz. w Ząbkowicach	„	1.—
Szkoła Powszechna Sarnówek	„	0.20
Do przeniesienia . . .	zł.	7.131.07

Z przeniesienia . . .	zł.	7.131.07
Felicja Majerczykowa, naucz. Szkoły Powsz. Nr. 21 Sosnowiec od dzieci	„	7.16
Wacław Lukas Warszawa	„	1.50
Z puszki wyjęto	„	6.70
Galinowa Anna	„	3.—
Szkoła Powsz. im Mickiewicza, Sosnowiec	„	23.36
Naczelnik Popielski, Kielce	„	5.—
Szkoła Powszechna w Wadowicach Dolnych	„	1.37
Kierownictwo Szkoły 1-ej oddz. III-ci Stryszawa, p-ta Lachowce	„	1.50
Jan Bąk, Warszawa	„	10.—
Dyrekcja Państw. Gimnazjum w Białej	„	10.60
Krysia i Hala Cękalskie	„	2.—
Józef Zieliński, Warszawa	„	3.—
Bernard Dawidowski, Łuck	„	1.80
W. Piechocki, Inspektor Szkolny, Przewodniczący Komitetu „Tyg. Dziecka" w Sieradzu	„	20.—
H. Radlińska, Warszawa, Opaczewska 2c	„	6.—
Inż. Sarjusz Bielski, Prof. Akademji Górn. Kraków	„	20.—
Prof. Uniwersyt. D. Szumowski, Kraków	„	6.—
Dr. Kaz. Dadej, Zakopane, Dyr. Sanatorjum Uniwersyt. Jagiell. na Bystrem	„	6.—
Marja Barańska, Częstochowa, 7-miu kamienic 15	„	5.—
Wójcik Józef, Bielszowice, Kościelna 20	„	5.—
Bretuer Romuald, Niemce	„	6.—
Stefan Sordyl, Biała, Paderewskiego 5	„	1.—
Z puszki — ofiary	„	6.85
E. Rogalska, Grodno, Bernardyńska	„	2.—
Szkoła im. Orzeszkowej, Nowy Sącz, Jagiellońska 32	„	3.—
Michał Czołczyński, Łódź, Brzezińska 88	„	1.50
Stanisław Bomirski, Miechów, kier. Szkoły w Pstroszychach	„	2.—
Felicja Synarodzka, Ostrowiec kielecki	„	2.—
Gardjan Józef, Łagiewniki Śląskie, Sienkiewicza 44	„	10.—
Magdalena Stankowska, Bóbrka p. Równe	„	2.—
Do przeniesienia . . .	zł.	7.312.41

Z przeniesienia . . .	zł. 7.312.41
Grono Nauczyc. P. Seminarjum Nauczycielskiego, Kielce	„ 10.—
Szkoła Żeńska, Limanowa	„ 2.60
Bank Polski, Warszawa	„ 1.500.—
Publiczna Szkoła w Porębce Kazimierz, k/Strzemieszyc, (Sklepik Szkolny)	„ 18.54
Publiczna Szkoła w Porębce Kazimierz, k/Strzemieszyc, (Dzieci Szkolne)	„ 7.54
Razem . .	**zł. 8.851.09**

N. B. — Zebrano dotychczas od członków T-wa Przyjaciół Górki	zł. 2.234.97
Od pracow. Górki z dobrowolnych potrąceń	„ 12.244.50
Obecnie — jak powyżej	„ 8.851.09
Ogółem do d. 1-VI-33 r.	**zł. 23.330.56**

Wszystkim ofiarodawcom, a przedewszystkiem dzieciom i młodzieży, składamy gorące i serdeczne: „Bóg zapłać".

Uwaga: Wpłaty **na Fundusz Zdrowia**, pod hasłem: „Dzieci zdrowe — dzieciom chorym", — **składki** członkowskie Tow. Przyj. Górki i **prenumeratę** Górki, prosimy wpłacać do P. K. O. — Nr. 21.330 (Tow. Przyjaciół Kolonji Leczn. Dziec. w Busku).

Prosimy odnowić prenumeratę na 1933 r.
Prenumerata miesięcznie 50 gr., rocznie 6 zł.

Podziękowanie.

Zarzad Towarzystwa Przyjaciół Górki i Dzieci Górki tą drogą składają gorące i serdeczne podziękowania za tak hojne ofiary Panom: Prezesowi P. K. O. za zł. 1.000 —, Prezesowi Państwowego Banku Rolnego za zł. 100.— i Prezesowi Banku Polskiego za zł. 1.500— na cele T-wa Przyjaciół Górki i Górki

Bóg zapłać!

CENY OGŁOSZEN: za tekstem: cała strona — 50 zł.; 1/2 strony — 30 zł. 1/4 — 20 zł. 1/8 12 zł. Drobne za 1 słowo 10 gr. Przed tekstem — 2 strona cała — 80 zł. Tabelaryczne, fantazyjne — 50% drożej.

Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy przyjęcia ogłoszenia. Ogłoszenia przyjmuje biuro Tow. Przyj. Górki — w Busku—Zdroju. Za terminowość ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Prenumerata: rocznie zł. 6. — półrocznie zł. 3. — miesięcznie 50 gr. Numer pojedyńczy 60 gr. — Prenumeratę wpłacać do PKO № 21.330 — Tow. Przyjaciół Kolonji Leczniczej Dziecięcej w Busku — Zdroju.

Za komitet redakcyjny dziecięcy: **K. Błaszkiewiczówna.**

Redaktor odpowiedzialny: **W. Dobrowolski.**

Wydano nakładem Towarzystwa Przyjaciół Górki.

Wszelką korespondencję kierować: Busko — Zdrój, Górka, Redakcja Górki.

Biuro zamówień robót drukarskich A. Ryszelewski Busko-Zdrój.

Druk. „St. Święcki“, Kielce.